

Bieszczady - za górami, za lasami, za latami...

Autor tekstu: **Maciej Stępień**

Serce nie sługa — mój przypadek w pełni potwierdza tę starą maksymę, gdyż właśnie czwarty rok z rzędu jadę w Bieszczady. Z tą tylko różnicą, że po raz pierwszy solo. Choć za każdym razem ciuchcia do Zagórza dopełzała bez szczególnych opóźnień, jak dotąd nigdy nie udało nam się — co roku w różnych składach — ostatniego odcinka podróży do Ustrzyk Górnych, przebyć w ten sam sposób. Teraz podróżując w pojedynkę, znów zastałem nieco inną sytuację w rozkładach jazdy PKS. W przekonaniu, że wybieram najlepszą opcję, nieświadomie zorganizowałem sobie chyba jeden z najzmudniejszych wariantów z wszystkich możliwych na tej trasie.

W życiu jak w kabarecie, w kabarecie jak w życiu

Tak więc na moje własne życzenie, wczesnym popołudniem autobus dowiózł mnie do Wetliny. Aby dotrzeć do celu, czyli do studenckiej bazy namiotowej w Ustrzykach Górnych, pozostało jeszcze do przebycia co najwyżej 20 kilometrów. Gdy nabrałem pewności, że o tej godzinie PKS-y nie zorganizowały już żadnej podwozy dla takich jak ja maruderów, ruszyłem przed siebie. W duchu licząc jednak mocno na jakąś zmotoryzowaną okazję. A jeśli nie trafi się nic, to w najgorszym wypadku (był upalny i bezchmurny, sierpniowy dzień) za jakieś pięć, sześć godzin dotruchtam na miejsce jeszcze przed zachodem słońca.

Fot.1



Fot.1. W drodze z Wetliny do Brzegów Górnych. Panorama Połoniny Caryńskiej.

Podziwiając widoki i zwijając z wolna górskie serpentyny w akompaniamencie niezliczonych ilości świerszczy i pasikoników, w pełnym rynsztunku dotarłem do Brzegów Górnych. Tym samym zaliczyłem już połowę drogi do Ustrzyk. Tak naprawdę Brzegi Górne to wciąż jeszcze wtedy (był rok '89), niemal same tablice z nazwą miejscowości. Niema pamiątka po ostatniej wojnie. Poza samotną leśną osadą i studencką bazą namiotową w lecie, która mnie akurat nie interesowała i była zwykle dużo mniej popularna niż ta w Ustrzykach, niczego więcej tu nie było. Może jeszcze oprócz ukrytego gdzieś za drzewami starego cmentarza. Ale jak na ironię dopiero w tym miejscu, od chwili wymarszu z Wetliny, spotkałem większą, bo kilkunastoosobową grupę ludzi. Byli to turyści odpoczywający nad potokiem. Nie zatrzymując się, dziarsko pomaszerowałem dalej. Ledwie uszedłem kilkaset metrów, gdy zauważyłem zbliżający się powoli z przeciwka wóz konny. W sumie nic nadzwyczajnego, choć już z daleka widać było, że jedzie on w jakiś dziwny, skośny sposób.

Z jego strony dobiegał też nienormalny, jak na jadący wóz, dźwięk.



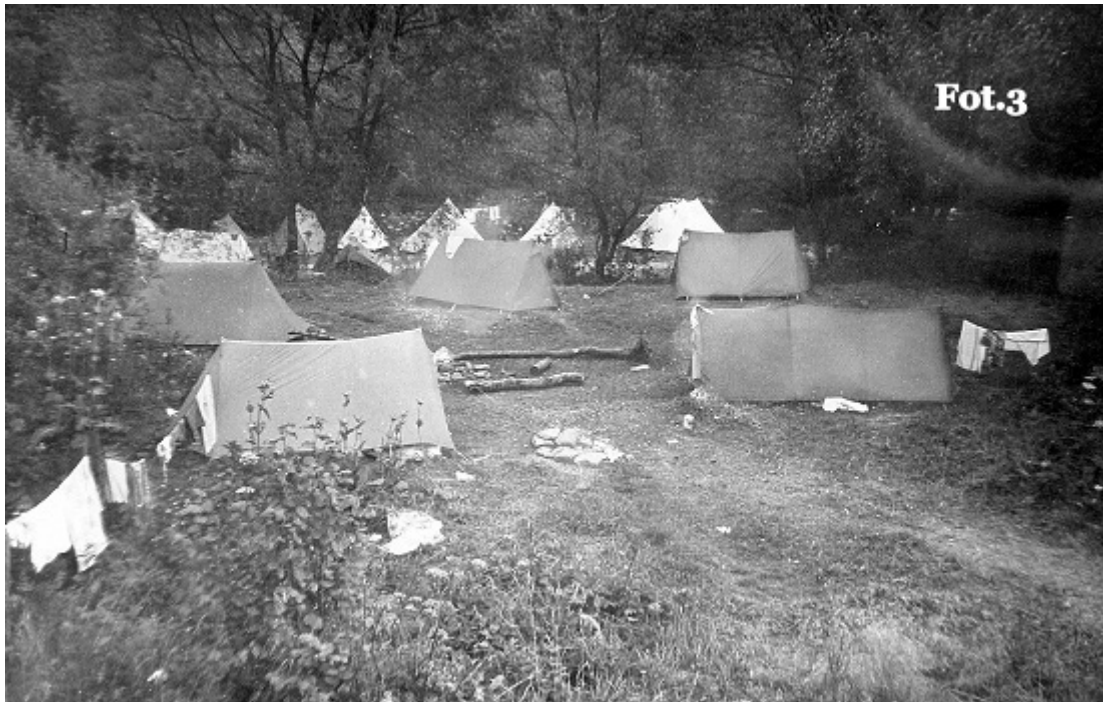
Fot.2. Zwiastujący rychłe odejście PRL-u jeździec Apokalipsy?

W chwili gdy się zrównaliśmy, tajemnica została rozwiana. Dziwny dźwięk był wynikiem tarcia drąga zastępującego urwane koło o nawierzchnię drogi. Ów drąg był także przyczyną skośnej jazdy wozu. Znacznie większy opór jaki stawiał on drodze w stosunku do oporu stawianego przez będące z nim w parze toczące się koło, spychał w widoczny sposób tylną oś w prawo. Historia z tym oryginalnym wozem w jednej chwili wzbudziła moje uznanie dla ówczesnej telewizji za skuteczną misję edukacyjną. Także jej umiejętność rozbudzania w narodzie optymistycznego patrzenia na codzienne kłopoty, warta była pochwały. Kto pamięta z tamtych czasów z telewizji, kultowy już wtedy, kabaretowy skecz o traktorze, który miał trzy koła dobre, a nie jedno zepsute, ten wie o czym piszę. Konkluzja ta tym samym jednoznacznie zadaje kłam pogłoskom, jakoby sygnał ówczesnej telewizji nie docierał w tamte rejony. Z drugiej strony jednak mając na uwadze często powtarzające się wyznania kabareciarzy, o czerpaniu pomysłów na skecze z życia codziennego, nie wiadomo do końca, kto kogo podpatrzył. Do tego dnia, od z górą dziesięciu lat nie widziałem wozu na żelaznych kołach, i nie sądziłem, że poza skansenami jeszcze taki kiedyś na polskich drogach zobaczę. A od tamtej pory faktycznie już nigdy więcej takiego nie spotkałem.

Jakieś pół godziny po minięciu tego wyjątkowego pojazdu, wskoczyłem do samochodu z dobrymi ludźmi w środku, dzięki którym ostatnie kilometry pokonałem błyskawicznie.

Studencka baza namiotowa

Jako jedna z kilku w Bieszczadach, istniała taka kiedyś co roku również w Ustrzykach Górnych. W tamtych czasach w niektórych kręgach, powiedzmy, że szczególnie ceniących sobie bliski kontakt z naturą, sam przymiotnik „studencka” dodawał jej swoistej renomy. Obecnie samo studiowanie nieco się zdewaluowało, więc i o renomę trudniej. I choć z dzisiejszej perspektywy i według dzisiejszych standardów w opinii co niektórych, bazy takie mogły posiadać co najmniej drobne cechy obozu przetrwania, to jednak najważniejszy ich atut — niska cena, był dostatecznym magnesem dla, jak to już napisałem, osób szczególnie ceniących sobie bliski kontakt z naturą. Za wspomnianą niską cenę, oprócz placu pod namiot „goście” mieli zapewniony dostęp do dwóch drewnianych wychodków. Po jednym dla pań i dla panów. Zdarzało się jednak, że w którymś z nich występowała awaria. Wtedy do dyspozycji wszystkich pozostawał już tylko jeden. Choć z pozoru wygląda to dość dramatycznie, trzeba wiedzieć, iż w rzeczywistości w razie nagłej potrzeby do wyboru wszyscy mieli dowolne miejsce w lesie dookoła. Wiadomo — pogoda jak to pogoda i latarni w lesie też nie było, gdzie za to w wyobraźni co niektórych podobno skradały się wilki, to jednak ta ewentualność cieszyła się sporą popularnością wśród zakwaterowanych, gdyż była jedynym skutecznym sposobem na rozładowanie zdarzających się czasami kolejek do oficjalnej wygódki.



Fot.3. Studencka baza namiotowa w Ustrzykach Górnych w sierpniu '89.

Aby teren mógł spełniać warunki pod założenie takiej bazy, w pobliżu obowiązkowo musiał przepływać wartki strumień. To załatwiało sprawę łaźienki i wody pitnej oraz zmywaka do naczyń i pralni. Nieco wyżej konstruowano łaźienkę z dostępem do wody pitnej, zaś niżej — zmywak z pralnią. Obie konstrukcje były do siebie bliźniaczo podobne i żeby ich ze sobą nie pomylić, trzeba było się nauczyć na pamięć która jest która. Zbite wzdłuż z dwóch wąskich desek korytko, jednym końcem zanurzone było w nurcie strumyka, aby nabierała się nań woda. Drugi koniec korytka, nieco pochylony w dół, był przymocowany do wbitego przy brzegu kołka. W istocie było to coś w rodzaju kranu-wodospadu, którego nigdy nie dało się zakręcić ani wyregulować. Z uwagi na to, iż nie zawsze padał deszcz, gospodarzom bazy zadaszenia nad nimi wydawały się zbędne. Jak nietrudno się domyślić, pewnym mankamentem tych przybytków był notoryczny brak ciepłej wody. Lepiej sytuowani goście mogli łagodzić tę niedogodność na oddalonym zwykle o 1,5 kilometra kempingu PTTK (w tę i nazad 3 kilometry). Tam — za opłatą, przy odpowiedniej dozie szczęścia, można było wcisnąć się pod prysznic. Z tym, że ciepłą wodę też nie zawsze dało się pod nim zastać. Wszyscy gorzej sytuowani i mniej wytrwali zadawali się łaźienką w bazie lub trafiali do płynącego nieopodal, zawsze lodowatego potoku Wołosatego. Dawało im to jednak zupełną niezależność czasową, dzięki której znacznie więcej czasu mogli przeznaczyć na wędrówki po przepięknych bieszczadzkich szlakach oraz na stanie w kolejce za piwem.

Przygotowywanie i spożywanie posiłków przy ładnej pogodzie, każdy zwykle organizował sobie przed namiotem. A przy niepogodzie w jego wnętrzu. Często wtedy w scenerii suszących się przemoczonych ubrań i butów. Ten, kto nie miał ze sobą jakiegokolwiek kuchenki mógł dorównać ich posiadaczom jakością swoich posiłków jeśli nabierał sobie suchego chrustu i jeśli nie padał akurat deszcz.



Fot.4. Dzisiaj nie mój dyżur w kuchni. Studencka baza namiotowa w Ustrzykach w sierpniu '88 roku.

Pomimo, że nie wszystko było tak, jakby tego sobie goście życzyli, atmosfera w obozowisku — zwłaszcza wieczorami — była zazwyczaj wesoła. Być może to zasługa królującego wtedy w Ustrzykach, a opiewanego kiedyś (chyba w '87) przez pewną kapelę na festiwalu w Jarocinie, leżajskiego fulla. W każdym razie prawie zawsze trafiał się ktoś z gitarą. I zawsze gdy taki ktoś przy ognisku uderzał w struny (jeden lepiej, inny gorzej), szybko przyciągał do siebie chór śpiewaków. Też czasem lepszych, czasem gorszych. W ten sposób atmosfera sprawnie się nakręcała. Jedynie deszczowa pogoda zapędzała wtedy wszystkich — nie zawsze do swoich — namiotów. Często wówczas występujące tak zwane „przejściowe trudności” w dostawach leżajskiego fulla (i nie tylko) miały, zdaje się, również swoje pozytywne strony. Choć niejednokrotnie — co zrozumiałe — wzbudzały one złość, to w sumie jego sympatyków uczyły cierpliwości, wytrwałości, pokory, umiejętności znoszenia długotrwałego pragnienia oraz pomysłowości (głównie w jego zdobywaniu). Po takim procesie szlifowania charakterów, połowę radości uzyskiwało się już po samym zdobyciu co najmniej satysfakcjonujących zasobów piwa. A pełnię osiągało się po jego wypiciu, czyli ustnej likwidacji. Prawda jest jednak taka, że z roku na rok tych przejściowych trudności było tam coraz mniej, a w samym roku '89 było już całkiem znośnie. Jednakowoż strach pomyśleć jak to wyglądało przed rokiem '85, zanim zjechałem tam pierwszy raz. Jeśli dobrze pamiętam, turystom trzeba było wtedy wszystkich palców jednej ręki aby zliczyć w Ustrzykach pocztę, sklepy, bary i przystanek PKS. I To jedynie w okresie letnim. Prawie wszystkie wymienione miejsca trapione były bolączką „przejściowych trudności”.

Obozowisko to — kto wie — może dlatego żeby nie utrudniać jego mieszkańcom jak najbliższego kontaktu z naturą, nigdy nie było ogrodzone. Czasami pociągało to za sobą nieprzewidziane efekty. Na przykład takie, jak przemarsz przez bazę stada krów, które to pewnego ranka nie bacząc na regulaminy i trwającą jeszcze ciszę nocną złożyło nam niezapowiedzianą, głośną wizytę. Efekt wizyty — kilkanaście namiotów z pozrywanymi linkami naciągowymi lub rozerwanymi tropikami. Nasze namioty szczęśliwie nie ucierpiały. Być może uratował je kolor inny od czerwonego. Krowy zostawiły po sobie także pewną ilość śmierdzących upominków. W cenę pobytu wliczone było jednak ich uprzątnięcie własnym sumptem. Uczciwie przyznać muszę, że przymusu sprzątnięcia nie było.

Na bieszczadzskich szlakach

Bez wątpienia leżajski full miał swoje zalety, jednakże śmiało można pokusić się o postawienie

tezy, iż najważniejszym bodźcem pchającym ludzi w Bieszczady były i są dzikie góry. Jako że natura poskapiła mi duszy poety, nie próbuję opisywać ich urody. Przeżywam ją sobie w milczeniu kontemplując. Moim zdaniem niekiedy nie mniej ciekawe od samych gór są (jak zawsze i wszędzie zdarzające się, czasami niepowtarzalne) drobne epizody i zdarzenia, często lepiej utrwalające się w pamięci, niż docelowa atrakcja. Nierzadko na swój sposób oddają one charakter tamtego miejsca, a czasem zaskakująco zupełnie tam nie pasują. Tak jak nie pasowała nam do scenerii bieszczadzkiej, para piknikujących nudystów napotkana w pobliżu schroniska pod Małą Rawką. Oczywiście — że tak się wyrażę — w bezpiecznej jednak dla nich odległości od niego. Kreatorem naszego zdziwienia był niczego w tych okolicznościach nieświadomy Zbigniew Wodecki. W owym czasie w połowie lat 80-tych, za jego sprawą plaża nudystów w

Chałupach stworzyła w naszych głowach jedyną, jak nam się wtedy wydawało, możliwą scenerię dla golasów — nadmorską plażę. Bieszczadzka połonina była chyba ostatnim miejscem, w jakim moglibyśmy się ich spodziewać. Idąc uczciwie wytyczonym szlakiem „atrakcja” ta z pewnością nie stanęłaby nam na drodze. Zdarzyło się to — wtedy jeszcze — daleko poza terenem Parku Narodowego, więc i nasze przewinienie (tzn. zejście ze szlaku), jak przypuszczam, było pośledniego kalibru. Rok później Wielka Rawka — sąsiadka Małej Rawki, gdy wciąż jeszcze granice parku obu ich nie obejmowały, również stała się świadkiem nielegalnego zboczenia ze szlaku. Tym razem, spośród naszej nielicznej grupy, tylko mnie się tego zachciało. W jej pobliżu (na Krzemieńcu) znajduje się punkt w którym zbiegają się granice trzech państw. To był mój cel. Nawiasem mówiąc, takich nielegalnych zboczeń musiało być w jego kierunku sporo więcej, choć ja akurat nie spotkałem nikogo. Wtedy nie wiódł ku temu punktowi jeszcze żaden szlak, a mimo to ścieżka którą się tam dochodziło rysowała się wyraźnie. Przede wszystkim służyła ona chyba ówczesnej straży granicznej. Właśnie te straże graniczne wzbudzały wtedy trochę mojego niepokoju. Jak się przekonałem — niepotrzebnie, gdyż tak jak sobie zaplanowałem, tak udało mi się zrobić małe tourne przez dwa sąsiednie państwa i przez nikogo nie niepokojonym wrócić do Polski a potem na szlak. Po niedługim czasie okazało się, że był to jeden z ostatnich dzwoneków na taki skok w bok. Historia sprawiła, że punkt się ostał, ale pozmieniały się państwa. Za mojego żywota, a może i dłużej, już chyba nie zetkną się w jednym punkcie granice Polski, ZSRR i Czechosłowacji. Ale dzięki temu mam powód do kolejnej wyprawy na Wielką Rawkę i Krzemieniec — aby odbyć jeszcze jedno małe tourne. Niby takie samo, ale jednak zupełnie inne.



Fot.5. Połonina Wetlińska . W sprzyjających okolicznościach można stąd dostrzec Tatry.

Innym razem, bodajże w rok później, wyprawa na Wielką Rawkę stała się załącznikiem moich przyszłych przygód z Tatrami. Do tamtej chwili nie dowierzałem opowieściom o możliwości zobaczenia ich z bieszczadzskich szczytów. A jednak okazało się to prawdą. Na samym krańcu

horyzontu, wierzchołki Tatr wystawały z chmur i zdawało się, jakby były powiększone przez zawieszoną w przestrzeni ogromną soczewkę. W następnym sezonie prosto z kolejnego wypadu w Bieszczady pojechałem w swoją inauguracyjną wyprawę w Tatry. Od tamtej chwili „serca mam dwa”. Jeszcze tylko raz miałem szczęście obserwować stąd ich szczyty. Z tą tylko różnicą, że nie z Wielkiej Rawki, a z Połoniny Wetlińskiej. Kluczową rolę, co oczywiste, odgrywają tutaj pogoda i dobre oczy. Z Połoniny Wetlińskiej za to prawie zawsze przy ładnej pogodzie widać zaporę w Solinie.



Fot.6. Zapora w Solinie widoczna z Połoniny Wetlińskiej (w powiększeniu).

Pozostając jeszcze przez chwilę w temacie Tatr — przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy z ich namiastki o którą ocierałem się za każdym tutaj pobycem. Oświeciła mnie dopiero przypadkowa rozmowa z jednym z juhasów wypasających owce w bieszczadzkich dolinach. Ze zdziwieniem dowiedziałem się od niego, iż większość pasących się tutaj owiec przyjechała w Bieszczady tak samo jak ja, czyli pociągiem. „Jego” owce były z podhala, a on sam pochodził z Nowego Targu. Wynajął się, zresztą nie po raz pierwszy, jak mówił, do opieki nad nimi, na okres od maja do września.

Sporą popularnością wśród turystów cieszyły się otwarte dla wszystkich, jednorazowe doroczne imprezy w stanicach harcerskich. Ja określiłbym je jako coś w rodzaju dni otwartych. Dokładnej nazwy tych imprez już nie pamiętam, w każdym bądź razie z całą pewnością odbywały się takie w sierpniu w stacji w Wołosatym. Studencka baza namiotowa w Ustrzykach usytuowana była zwykle ok. 2,5 kilometra od ich „centrum” w stronę Pszczelin, a do Wołosatego od rozstajów dróg w tym „centrum”, jest kilometrów sześć. Dlatego z pewną dozą wyrozumiałości można spojrzeć na wszystkich, którzy po wcześniejszych górskich wędrówkach, aby potem móc jeszcze dojść, wziąć udział w zabawie i wrócić wyliczonymi wyżej kilometrami, wspomagali się leżajskim fullem. Jakakolwiek komunikacja na tej trasie była wybitnie rzadka, zaś w sobotnie popołudnie, kiedy zazwyczaj impreza ta była organizowana, nie istniała zupełnie. Pamiętam, dopuściłem się tam kiedyś pewnego aktu hipokryzji, gdyż będąc samemu pod działaniem napoju chmielowego podpisałem harcerzom petycję domagającą się zakazu uprawy maku. Nie od dziś wiadomo z jakim skutkiem. Jeśli doprowadziło to kiedykolwiek do skokowej podwyżki cen makowca, to niestety miałem w tym swój udział. Dla gości harcerze przygotowywali wiele atrakcji; chwalili się swoją sztuką kulinarną oraz swoim obozowym życiem; odbywały się występy artystyczne, parady przebierańców, zawody sportowe, konkursy piosenki, happeningi, gawędy i śpiewy przy ognisku, no i oczywiście tańce.

Jak chyba wszystkim wiadomo, Bieszczady są miejscem, gdzie mieszka wiele z najwspanialszych dzikich gatunków zwierząt żyjących w naszym kraju. Za takie bezsprzecznie można uznać niedźwiedzie, wilki, jelenie, rysie czy też żubry. Wszystkie tu wymienione, to gatunki dość słusznych rozmiarów. Jeśliby nie liczyć krów na polu namiotowym i pasących się tu owiec oraz psów ich pilnujących, to największymi zwierzętami z którymi ja zetknąłem się w Bieszczadach — sumując wszystkie moje wyjazdy — były... ryby. Te przy czole solińskiej zapory (nawiasem mówiąc, przez te wszystkie lata wcale już większe nie urosły). Widać taki mój los. Los ten jednak sporo mi kiedyś wynagrodził posługując się w tym celu zupełnie małutkimi zwierzątkami — jaszczurkami żyworodnymi.



Fot.7. Siedmioro rodzeństwa.

Choć akurat przedstawicielei tego gatunku spotyka się wszędzie od Bałtyku do Tatr, to jednak liczba napotkanych osobników — dorosłych i młodych — niemal w jednym miejscu, sprawiła chwilowe opadnięcie mojej szczęki. Na fragmencie początkowego , górnego odcinku szlaku z przełęczy pod Tarnicą do Wołosatego, na drewnianych belkach ograniczających szerokość ścieżki dla turystów, na długości zaledwie ok. 30 metrów naliczyliśmy ich z górą sto! A liczyliśmy dość pobieżnie i tylko te które nie uciekły przed nami oraz innymi będącymi wtedy w tym miejscu turystami. Szczególną, bo rzadko spotykaną perełką wśród nich, była ta z dwoma ogonami.



Fot.8. Szczególną, bo rzadko spotykaną perełką wśród nich, była ta z dwoma ogonami.

"Zielone wzgórza nad Soliną"

Tekst piosenki pod takim tytułem pięknie je opisuje. A ja dzięki niemu czuję się wyręczony. Dlatego i tym razem z powodu nieposiadania poetyckiej duszy, próby opisu urody tych wzgórz nie zaryzykuję.

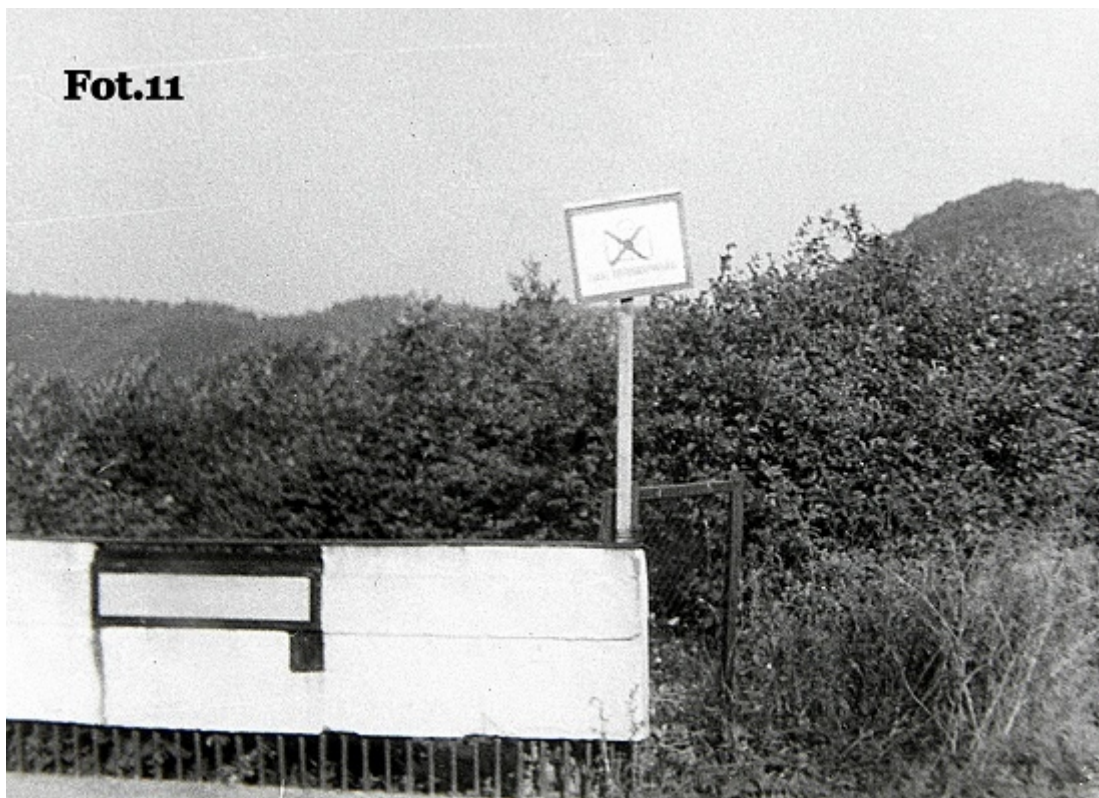


Fot.9. Widok na jezioro ze zbocza za zaporą w sierpniu '88.



Fot.10. Zdjęcie zrobione kilkadziesiąt metrów bliżej jeziora niż poprzednie, z tą różnicą, że „spogląda” w prawo na zapórę.

Natomiast co do samej zapory — swoim wnętrzem wywarła ona na mnie jeszcze większe wrażenie niż swoją prezencją. Długo dałem się namawiać na zwiedzanie zapory od środka. Ale po wycieczce wielce rad byłem, że pozwoliłem się do tego w końcu przekonać. Nie wiem jak jest teraz, aczkolwiek w 2007 roku było to wciąż jedno z nielicznych już miejsc, gdzie nadal obowiązywał zakaz fotografowania, tak powszechny jeszcze wszędzie w latach '80-yh. Co z pewnością nie wszyscy, ale wielu z nas jeszcze pamięta. Na przykład tablice z takim zakazem wisały tuż przed wejściami na zapórę (fot.11). Ustrój nam się zmienił, lecz zjawisko zakazu fotografowania (teraz jeszcze poszerzonego o zakaz filmowania) bynajmniej nie odeszło do lamusa. Spotyka się je choćby w muzeach. Jednakowoż ilościowo zakazy takie przesunęły się bardziej z „miejsc” na „wydarzenia”. Mam na myśli np. choćby ceremonie religijne w co niektórych kościołach albo też koncerty gwiazd estrady.



Fot.11. Tablica z zakazem fotografowania przed wejściem na zaporę od strony „za zaporą”.

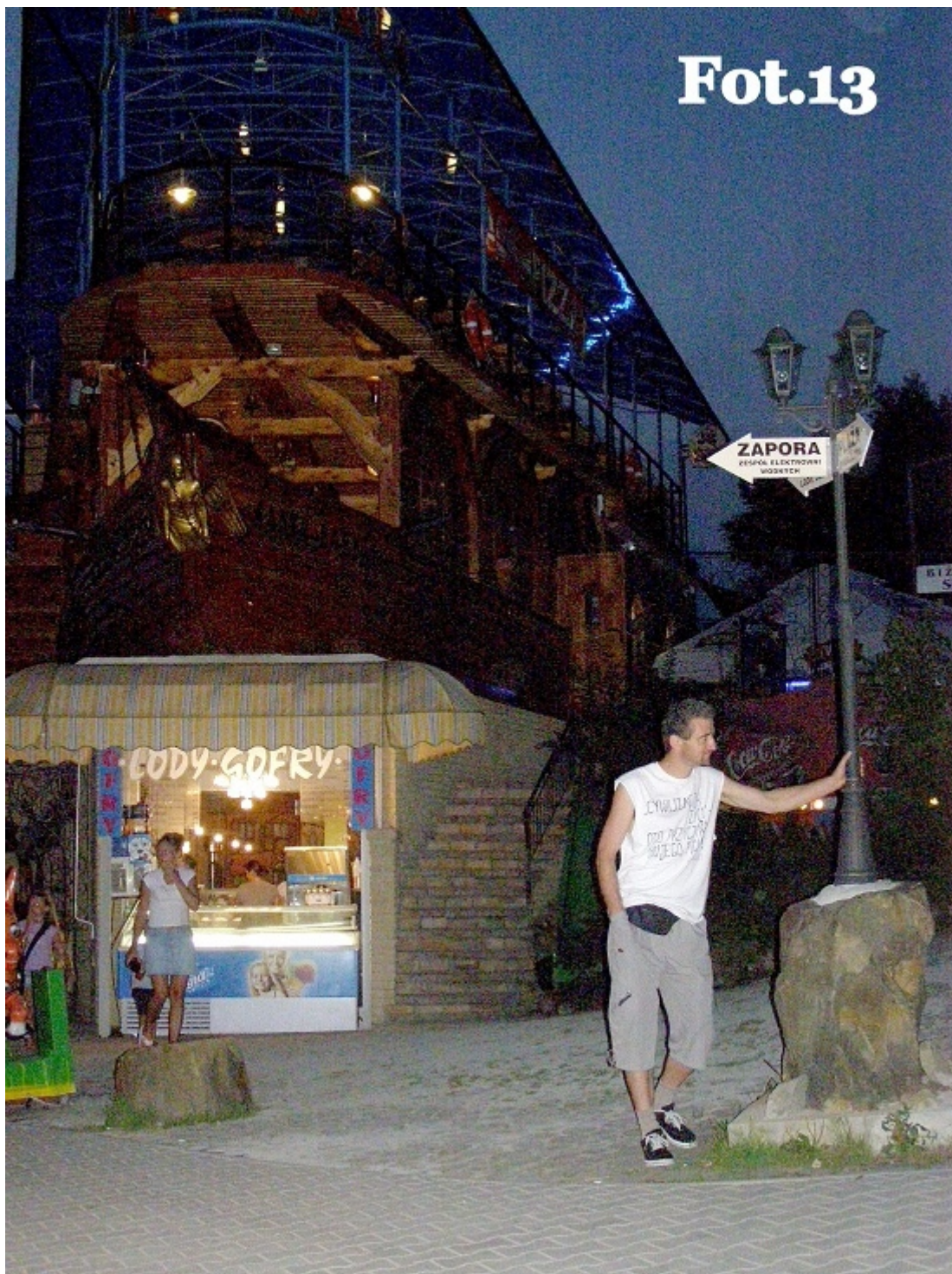
Po latach

W Ustrzykach Górnych, już od wielu lat nie ma studenckiej bazy namiotowej, ale za to skończyły się kolejki za piwem. Harcerzom po roku 90-tym wiedzie się w Bieszczadach o wiele skromniej, a od dłuższego czasu jeszcze gorzej wiedzie się podhalańskim owcom, które już tutaj na popas wcale nie są przywożone. My Polacy, mamy nowych sąsiadów, których miedze razem z naszą miedzą spotykają się na Krzemieńcu. W tym samym miejscu co z miedzami starych sąsiadów.

W Solinie taki widok zielonych wzgórz z roku '88 jaki roztaczają przed nami, odrobinę fałszujące rzeczywistość czarno- białe fotografie 9 i 10, z miejsc w których były zrobione, to już przeszłość. Po niemal dwudziestu latach, a było to już prawie osiem lat temu, pole namiotowe zostało wyparte przez ogródki piwne, karuzele i najróżniejsze fikuśne budynki, jak te na fotografiach nr 12 i 13. Uczciwie zgodzić się trzeba, że istniejącą tam infrastrukturę zbudowano przede wszystkim po to, aby już nigdy więcej nie wystąpiły żadne „przejsciowe trudności”. I to rzeczywiście działa! Jednakże skutkuje to w paru miejscach tego zbocza nieustającą trudnością w podziwianiu widoków na zalew i wzgórze wokół. Ale jest i na to rada. Wszak istnieją jeszcze inne miejsca z których widoczność wciąż jest doskonała. Jeśli jednak ktoś koniecznie się uprze aby właśnie z tych zasłoniętych móc popatrzeć na zalew, to wystarczy wejść na pięterko do któregoś z lokali, usiąść przy właściwym oknie lub na tarasie i zamówić choćby leżajskiego fulla.



Fot.12. To i następne zdjęcie zrobione w 2007 roku mniej więcej z tego samego miejsca co zdjęcie nr 9, tyle tylko, że ta fotografia „spogląda” w lewo, a nie wprost na zalew.



Fot. 13. Zaś to zdjęcie „spogląda” w prawo.

W 2009 roku wokół szczytu Tarnicy, najwyższej góry naszych Bieszczadów, pojawił się solidny płot ogradzający sobą 300 m² powierzchni. W pierwszej chwili można by sądzić, iż ma on służyć bezpieczeństwu turystów i ... pielgrzymów. Pielgrzymów, którzy upatrzili sobie to miejsce, aby raz w roku dostać się tam w ramach drogi krzyżowej. W sumie, choćby przy odrobinie empatii, można ich zrozumieć. Zawsze to przecież dla nich bliżej nieba. A poza tym, różne można mieć motywacje do łązkowania po górach. W rzeczywistości jednak płot ten ma chronić solidnie już tam zdewastowaną przyrodę. Właśnie przed turystami i pielgrzymami. Nad ich bezpieczeństwem natomiast ma czuwać ustawiony parę lat wcześniej potężny, metalowy krzyż upamiętniający niegdyśszą wizytę Wojtyły na Tarnicy. Krzyż który, jak można wywnioskować po wybudowanym płocie, przyrody przed turystami ani pielgrzymami nie jest w stanie, albo nie chce ochronić.



Fot. 14. Ogrodzony szczyt Tarnicy

Jak z powyższego wynika, z samodyscypliną wśród bieszczadzkich łązików generalnie nie jest kapitalnie. Zresztą jak wszędzie. Niewiele w tej materii pomagają wydawane przez dyrekcję Parku Narodowego miliony, mające za zadanie powstrzymanie corocznej, prawie trzystutysięcznej armii przed drastycznym poszerzaniem wytyczonych szlaków. Po szczęśliwym dla Bieszczadów upadku dębickiego Igloopolu z jego rozlokowanymi tutaj kilkoma farmami bydła, w tej chwili największym dla nich zagrożeniem wydają się być ci, dla których miały one pozostać nietknięte. Nie wiem, może nie powinienem tak często tam jeździć?

Żeby jednak nie kończyć w tym niezbyt optymistycznym nastroju, jeszcze raz na chwilę przeniosę się wstecz. I jeszcze raz do Soliny. Pchany ciekawością, idąc pewnego razu drogą poniżej zapory, dość szybko natknąłem się na zabawny obrazek, który udało mi się uwiecznić. Miałem farta, gdyż nie było tam zakazu fotografowania. Obrazek ten jako żywo przypominał mi morał z piosenki jeszcze jednego z przodujących wówczas polskich szansonistów. Krótki rzut okiem wystarczy aby obserwatorowi trzeźwa ocena sytuacji nasunęła się szybko: „że to nie są milicjanci, że to byli przebierańcy”. Dopiero nieco później pomyślałem, że to mogli być tajniacy.



Fot. 15. To nie są milicjanci, to są tylko przebierańcy

Zobacz także te strony:
[Hajże na Bieszczady](#)

Maciej Stępień

Publicysta.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 03-04-2015 Ostatnia zmiana: 04-04-2015)

Oryginał. (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9825>)

Contents Copyright © 2000-2015 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2015 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl